fot. Waldemar Wylegalski

ZBIGNIEW DMITROCA

Polska be (fragmenty)

Tu wierzby płaczące i gniazda bocianie,
Żurawie przy studniach i chaty pod strzechą,
Tu nic się nie dzieje i nic się nie stanie,
Tu sielsko, anielsko i wszędzie daleko.

To Polska be,
Po prostu żywy skansen,
Co wierzy, że
Ma szanse na awanse.

Tu ziemia naprawdę i żyzna, i śliczna,
Tu naród gościnny, wylewny i hojny,
Tu wielkie pijaństwo to cecha dziedziczna,
Bród, smród i ubóstwo, lecz lud bogobojny...

Kraina jak z bajki i mleczna, i miodna,
A jednak skazana zaocznie na nędzę,
Wygnana od stołu jak siostra wyrodna,
A mimo to śniąca swój sen o potędze.

Tu wierzby płaczące i gniazda bocianie,
I grusze na miedzy, i olchy nad rzeką,
Tu pianie kogutów i żab rechotanie,
Tu sielsko-anielsko i wszędzie daleko...

To polska wieś,
A chłopi to sól ziemi,
Niech każdy wie,
Że my tu swoje wiemy!

To ziemia ojczysta i żyzna, i śliczna,
Tu naród robotny, roztropny i hojny,
Tutejsza serdeczność to cecha dziedziczna,
I z dziada pradziada nasz lud bogobojny...

Tu chłopy zadziorne jak jurne koguty,
Tu baby gderliwe jak nośne kokoszki,
Jedyną rozrywką są plotki i ksiuty
I chętnie świntuszą największe świętoszki.

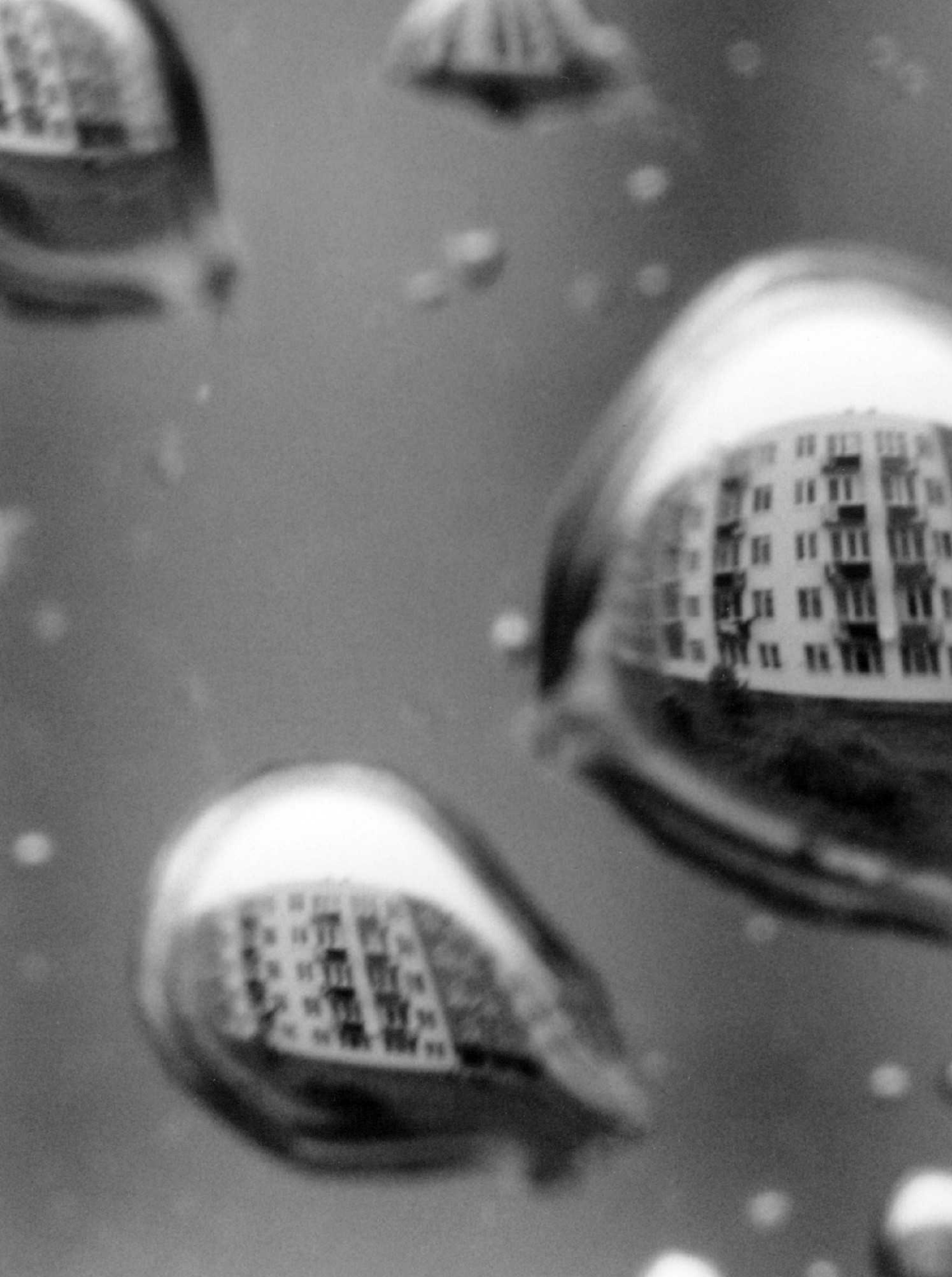

Tomasz Młynarczyk

JACEK FRĄCZEK

DROGA NA HENOCH. O PERCEPCJI PROWINCJI

Choć w ludzkiej świadomości prowincja, w rozumieniu lokalnym, jawi się jako obszar leżący z dala od miasta, to jej początki były zgoła inne. Biblijny Kain za zabicie brata zo-stał obłożony klątwą. Bóg zdecydował, że ziemia, na której dokonano zbrodni, nie wyda więcej plonów i zapowiedział los Kaina: „Tułaczem i zbiegiem będziesz na ziemi". Kain, nie mając innej możliwości utrzymania, opuścił rolę i zamieszkał w kraju Nod, gdzie zbudował pierwsze miasto - Henoch, od imienia swego pierworodnego syna. Miasto to, wyrosłe ze zła, ale jednocześnie mające dawać plon i zaspokajać potrzeby człowieka, było biblijną prowincją, centrum życia była zaś rola, jako symbol bliskości Boga i natury, ziemski raj. Mówienie o prowincji jako takiej jest możliwe jedynie gdy spełnione są dwa warunki. Po pierwsze musi istnieć odniesienie do czegoś co prowincją nie jest: centrum, stolicy, metropolii, pewnej stołeczności. Tylko poprzez porównanie z takim punktem odniesienia możliwa jest deklaracja: „XY jest prowincją", lub też „to my jesteśmy zaściankiem". Bywa i tak, że przez pewne jednostki za centrum uznane zostaje miejsce małomiasteczkowe ze względu na swe położenie i istotne funkcje. Toteż prowincje stają się zaściankami prowincji o ważniejszej roli. Nie inaczej jest w obszarze mentalnym, gdzie prowincjonalizm uznawany jest zawsze za intelektualną czy zachowawczą niemoc.By mówić o prowincji człowiek musi ponadto, jak biblijny Kain, opuścić miejsce bytu i poddać ocenie rzeczywistość zastaną. Nastąpić musi spotkanie. Poznanie, wyjście naprzeciw novum, spotkanie - to wynik ciekawości. Tylko poprzez ciekawość (lub też konieczność) człowiek opuszcza swój dom i tylko w ten sposób może poznać świat. Człowiek zamknięty we własnych ścianach, lub co najwyżej w granicach wyznaczonych przez społeczność, w której żyje - nie stworzyłby możliwości konfrontacji, a tym samym nie istniałby podział na prowincję i stołeczność. Dla człowieka otwartego, gotowego do odkrywania i wędrówki, prowincja jest egzotyką, a terminy te nawzajem się dopełniają. Jeśli poznanie nowej rzeczywistości nie jest wymuszone, to zainteresowanie nią traktowane może być w trojaki sposób: bądź jako antidotum na monotonię (i jawi się wtedy jedynie jako pobieżna i chwilowa atrakcja), lub też jako cel badawczy. Czasem, choć bardzo rzadko, cel wyprawy odbierany jest jako świat i obiekt zainteresowania funkcjonujący na poziomie równorzędnym do naszego.

Antidotum na nudę

Noszę w sobie obraz Japończyków, którzy stopniowo zawłaszczają glob i podbijają świat fotografiami zrobionymi w przeciągu kilku chwil, jakie poświęcają na „poznanie" nowej rzeczywistości. To „japońskie spotkanie" wystarcza może na dokonanie pobieżnych porównań i ocen, z pewnością jednak na to, by wielkie metropolie i centra światowej turystyki przekształcić w egzotykę i uznać za godne obfotografowania i umieszczenia w rodzinnym albumie z wakacji. Krytykowani za turystyczną niefrasobliwość mieszkańcy Wysp Japońskich zwracają uwagę (całkiem przypadkiem, bo w pośpiechu mało rzeczy zdarza się celowo) na kwestię uwagi godną: trzeba mieć poczucie własnej odrębności. Krótkotrwałe, ale ciągle powtarzane, zachowania Azjatów przywracają poza tym porządek, który warto nosić w pamięci: co dla nas jest pępkiem świata, dla innych może być tylko prowincją. Z drugiej strony, wartości, które już nam spowszedniały i których już nie zauważamy, zawsze dostrzec i pokazać nam mogą inni. Przemieszczanie się człowieka, niezależnie od czasu trwania i dystansu do pokonania, jedynie w wyjątkowych wypadkach pozwala na żywotne zainteresowanie krainą, do której człowiek zmierza oraz jej mieszkańcami, mimo że

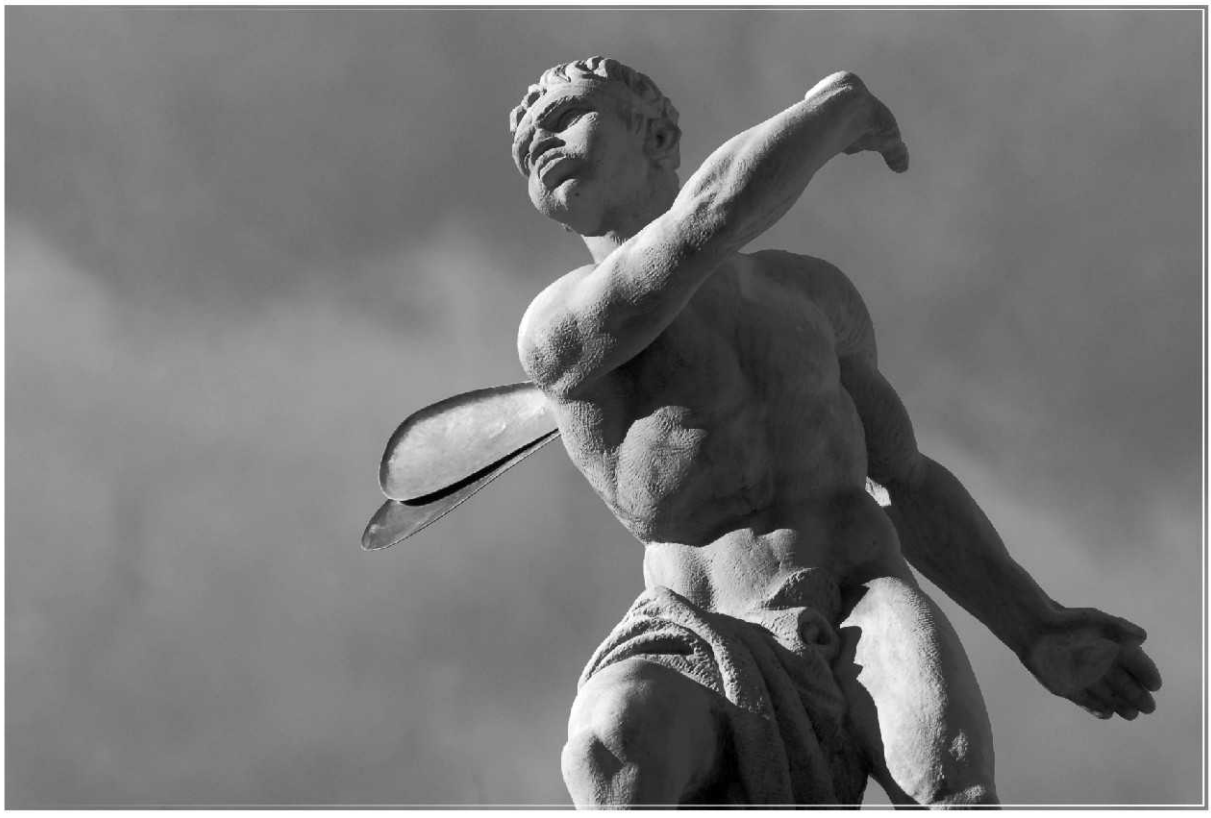

Jacek Frączek

przygotowania pociągają za sobą wiele wysiłku, na który człowiek decyduje się przecież z własnej woli. Na pytanie, czemu tak jest odpowiedzi udziela Emmanuel Levinas: żyjemy usiłując przetrwać we własnym istnieniu. Jest paradoksem, że turystyka przeżywa obecnie boom, choć większość z tych, których jest udziałem, nie jest zainteresowana poznawaniem świata, ani nawet krótkotrwałą zmianą stylu życia. Wygodne domowe pielesze turyści wymieniają jedynie na pokój hotelowy z łazienką i śniadaniem do łóżka. W efekcie przedsięwzięcia, które mogłyby zbliżać i uczyć, stają się demonstracją ignorancji.

Jak zatem zbliżyć się do tzw. prowincji?

Poznawać i badać

Jeśli człowiekowi uda się wyzbyć egoizmów i pokonać wynikający z niego lęk (może to być obawa przed ośmieszeniem się lub przed niewykazaniem odpowiedzialnością, która przez fakt zamieszkiwania w tym czy innym miejscu rzekomo miała zostać w nim złożona itd.) to jest on gotów otworzyć się na poznanie nieznanego i spotkanie z nim.

Wędrowiec, zanim opuści dom i wybierze się w drogę, jeśli nie traktuje wędrówki jako remedium na nudę, czyni wiele przygotowań, chce wiedzieć, co go czeka. Czyta, rozpytuje, zbiera informacje, korzystając przy tym z różnych źródeł. Jeśli poświęci sprawie wiele uwagi i wysiłku, może zdarzyć się, że dokładnie będzie wiedział czym obrana przez niego za cel kraina jest, jaka jest jej historia, kultura, jacy ludzie w niej żyją. Wychodzi na spotkanie czegoś, co dokładnie zna, wie o niej często więcej niż rodowici mieszkańcy.

Jeśli jest już na miejscu otwiera szeroko oczy, weryfikując swoją wiedzę i pogłębiając ją, prowadząc badania terenu na skalę, na jaką go stać. Ów viatus, o ile posiada pewną wrażliwość, szybko staje się świadomy, że dotychczas udało mu się poznać jedynie skrawek rzeczywistości, w której się znalazł, i jeśli zależy mu na pogłębieniu tej wiedzy, będzie do tego miejsca powracał lub nawet tam zamieszka. Wie, że twórcami ziemi, do

której przybył, są jej mieszkańcy, toteż jedynie przez obcowanie z nimi zrozumie zasady i procesy jakie napędzają życie prowincji. Wie też, że jedynie poprzez kontakt z ludźmi będzie mógł zrozumieć siebie, a zatem odkryć prawdę o sobie samym (pozbywając się przy tym kompleksów). To, na co dotychczas nie zwracał uwagi, będzie decydowało o jego tożsamości w nowym środowisku: kolor skóry, język (niech to będzie nawet jedynie inna intonacja, która go wyróżni), religijność (która czasem przesądza o jakości dalszego kontaktu - dla wielu mieszkańców Trzeciego Świata ateizm jest zjawiskiem niezrozumiałym), ubiór, sposób reakcji na konkretne sprawy. Te wyznaczniki zadecydują o tym, jak ci, do których przybył, będą postrzegać nie tylko jego, ale i wszystkich innych, którzy pójdą w jego ślady. Stąd klisze, które tak utrudniają życie podróżnika: każdy biały jest bogaty, jego życie religijne jest ambiwalentne i postrzegane najczęściej jako sprawa prywatna, toteż nie warto o to pytać; do tego dochodzą uprzedzenia narodowe i klanowe. Jednak poznanie jakiegoś skrawka Ziemi, zadanie sobie trudu zbliżenia, poniesienie ryzyka i kosztów mogą sprawić, że egzotyka może przestać nią być i stać się światem równorzędnym. Perspektywa poznania nie jest jednak w tym względzie decydująca i może być tak, że mimo eksperckiej wiedzy, jaką można o ziemiach sąsiadów posiąść, pozostaną one podrzędnym elementem zaspokajania ciekawości i sprowadzone do wiedzy w czystej formie. To, czy nastąpi prawdziwe spotkanie a prowincja zostanie potraktowana jako świat o równorzędnych, acz innych wartościach, jest, niestety, dziełem przypadku.

Spotkanie

Jeden z tragizmów życia polega na tym, że ludzie się nie spotykają. Przechodzą obok siebie, pozdrawiają się i wypytują o zdrowie (w wielu miejscach Afryki czynności tych trzeba się bardzo szybko nauczyć, inaczej można zostać uznanym za gbura), kłaniają w pół, uśmiechają się, ściskają, jednak warunki w jakich się spotykają, życiowe doświadczenia pozwalają najczęściej jedynie na poznanie oględne, "prześlizgiwanie się" po twarzach innych. We wzajemnym kontakcie nie dochodzi do współuczestniczenia w życiu drugiej osoby. Spotkanie takie przydarza się niezmiernie rzadko, albo też i nigdy. Dojdzie do niego jeśli los na to pozwoli oraz gdy strony wyzbędą się swoich egoizmów i uznają własną odrębność. Wyzbycie się kompleksów dotyczących miejsca pochodzenia, wychowania itd. i uznanie własnej odrębności a także odrębności drugiego człowieka, są konieczne dla zrównania płaszczyzn spotkania i zaistnienia spotkania w ogóle. Jest to także warunek konieczny dla wzajemnego zrozumienia. Zaklasyfikowania jednostki administracyjnej jako prowincji w znaczeniu lokalnym uniknąć się nie da - albo się nią jest, albo nie, choć ocena ta jest oczywiście względna (trzeba by zatem powiedzieć raczej: raz się nią jest, innym razem nie). Klasyfikacja człowieka jako prowincjusza w sensie intelektualnym lub moralnym bywa krzywdząca (bo jest często pobieżna i wypowiadana w pośpiechu), ale często, a to zakładając uważną analizę poprzedzającą ocenę, pozwala na oddzielenie ziarna od plewów, wzorców dobrych od tych, wobec których zachować należy ostrożność. Jeśli wskutek takiej oceny da o sobie znać poczucie poruszania się na marginesie obowiązujących norm społecznych - swoisty kompleks prowincji - jest on wartością, którą należy pielęgnować: dobrym sumieniem.

MARIA KRYŃSKA-SZOSTAK

Prośba niebieska

krok w krok obecny
biały świadku moich lęków
przed szafirem nocy
jeśli śluby jakieś
związały cię ze mną
omal obojętna
na twoje istnienie
okryj mnie płowym skrzydłem
snem niebieskim ucałuj
bądź księżyca blaskiem
niewidocznym prawie

bądź cudem

Czasoprzestrzeń

Zachwyciłeś się pierwszym słowem, ja - twoim ciałem
i spojrzeniem ascety, w którym nie widziałam dna ani drogi.
Śnieg prószył o zmierzchu, usta rozchyliłeś.
Pochwyciłam z pragnienia pierwszą sylabę.
Kartka zadrukowana wierszem rozkwitła w twojej dłoni.
Pisaliśmy do siebie by smakować, pieścić zmysłami myśli,
wprowadzać w drżenie słowa. Pisaliśmy by się całować,
a nasze bijące głośno serca sklejały się i pękały na powrót
pod ciosem metafor. Dusze ścigały się w labiryntach wieków,
z miasta do miasta, z epoki do epoki.
Wyrwana ze świata
zawisłam w przestrzeni. Mówią że był to nagły wypadek.
Pas uratował mi życie ale dotyk... uwierzysz?
zsunął się z policzka a świat się zaplamił.
Czasami jednak wydaje mi się - widzę cię kącikiem oka.
Pojawiasz się raptem, taki jak dawniej.
Jakbyś gotowy był znowu do drogi. Więc myślę wręcz,
że w życiu po życiu, gdy wszystko sie dokona,
a czas się zakrzywi, spotkam cię w pętli przestrzeni
i tak jak wtedy, pochwycę w płuca twoją sylabę.

DARIUSZ MAGIER

OFFLINE

PROWINCJA INTELEKTUALNA

Zacznijmy od lampy.

Lampa w ciemną noc
można żyć pięknie
wiem to
i czasem potrafię
wystarczy iskra
by zapalić lampę
rzecz w tym
by była pełna nafty

Niech lampą będzie człowiek. Samoistną, z wbudowaną baterią. Rodzi się, kształtuje, latami ładuje ten swój jednorazowy akumulatorek, by móc wreszcie zaświecić. To, jak zaświeci, ile mroku wokół siebie rozproszy, zależy właśnie od kształtu i baterii - słowem od tego, jak wykorzystany został czas przeznaczony na kształtowanie abażuru i ładowanie akumulatora. Cóż komu po lampie zbytnio rozpraszającej światło i nie usuwającej mroku? Co po lampie, której bateria wyczerpie się zaraz po włączeniu. Nic. Nulki - jak mawiała Babcia Oleńka w Stachurowej *Siekierezadzie*.

Podobnie jest z człowiekiem. Pomówmy o człowieku świadomym. Wiem, świadomość boli. Im większa, tym ból silniejszy. Ale ból jest potrzebny. Czytałem gdzieś o genetycznej mutacji, która wystąpiła w pewnej hinduskiej rodzinie - nie odczuwają bólu. Okazuje się, że przyczyniło się to do całkowitej deformacji ich ciał: są pokiereszowani, podrapani, mają powykręcane członki, które kiedyś wywichnęli, skręcili, lecz nie odczuwając bólu nie mogli ich ponastawiać i w wieku trzydziestu lat wyglądają jak powykręcani artretyzmem i - mniej lub bardziej zamierzonym - kalectwem starcy z żebraczej konfraterni.

Podobnie ból egzystencji, ból intelektualny - rozwija, dzięki niemu przezwyciężamy urazy, podnosimy się i przechodzimy na wyższy stopień świadomości. Od intelektualnego *homo erectus* do *homo sapiens*. Niby ten sam homo, a waga jakościowa zupełnie inna. To tak jak powiedzieć „Ecce homo" o Chrystusie i „Ecce homo" o Barabaszu - w końcu prawdziwe w obu przypadkach. Pojawia się, szeroko rozumiany, człowiek *kulturalny*.

Co to jednak znaczy w dzisiejszych czasach? Otwartość na wdzięki *tego świata* może przytępić nasze zmysły, utrudnić wynajdywanie rzeczy najwartościowszych, ba, obserwacja *zdobyczy współczesności* i mimowolne porównywanie ich z przejawami kultury minionej może nas przywieść ku przekonaniu, żeśmy tylko karłowatymi dziećmi olbrzymów.

I pojawia się pytanie, czy każdego w pewnym momencie życia ogarnia pesymistyczna myśl, że wszystkie najlepsze książki zostały już napisane, najlepsza muzyka skomponowana, a filmy nakręcone? Narasta wówczas nieodparta pokusa odrzucenia tego, co współcześni twórcy mają nam do zaproponowania. Pokusa przestawienia się na tryb offline, czyli eskapistyczną wewnętrzną emigrację do świata, który, co prawda, znamy jak własną podszewkę, ale za to wiemy również, że „coś" jest warty. Nie przeraża wówczas zamknięcie się w swojej pracowni alchemicznej, zajęcie miejsca w fotelu oświetlonym dyskretnym światłem lampy i zerknięcie ku regałom z księgozbiorem. Ba, wizja ta staje się co najmniej kusząca, co w porównaniu z, jak się zdaje, schyłkowym okresem współczesnej cywilizacji europejskiej, również dziwić nie może.

Możemy narazić się na zarzut płynący z kręgów własnej niszy ekologicznej, że umywamy ręce, że psychoza nieuchronności klęski strawiła nas na tyle, iż - niczym na katowski topór - z Shakespeare'em w rękach czekamy aż dziesięciotysięczny odcinek *Złotopolskich* zabije w nas tę resztkę okcydentalizmu, która jeszcze gdzieś tam w głębi naszych serc się tli. Ale czyż nie jest to właśnie największy przejaw naszej kultury? Tej, która onieśmielała barbarię swym poziomem, mocą wiary, nonkonformizmem, dzisiaj będącym jednym z grzechów głównych - jako postawa radykalna. Gdyby Chrystus nie był radykałem nie byłoby Odkupienia. Gdyby pierwsi chrześcijanie rozpoczęli dialog z Neronem - nie staliby

się posiłkiem dla lwów, ale też ich krew nie wzmocniłaby fundamentów Kościoła. Gdyby nie klasztory Irlandii związki z grecką i rzymską myślą filozoficzną zostałyby ostatecznie zerwane, a nieukształtowany nią barbarzyńca zbudowałby Europę, jaką strach sobie nawet wyobrazić.

Dlatego owego zamknięcia się w świątyni własnej formacji intelektualnej nie należy traktować jako rejterady z pola walki o przyszłość, raczej jako powrót do źródeł, próbę przywdziania najlepszej z dostępnych dla naszej kultury zbroi. Nie po to, by zwyciężyć w bitwie, w to trudno bowiem już uwierzyć, ale po to, by wygrać wojnę, wojnę o to, co dla człowieka indywidualistycznej cywilizacji łacińskiej najważniejsze.

Kojące offline to oczywiście nie zamykanie się przed wszystkim, co nowe. Wbrew naszym czarnym wizjom poza kulturą masową istnieje jeszcze życie. I są też jego przejawy, choć trzeba niekiedy trochę więcej wysiłku, by się do nich dokopać przez warstwy śmiecia i informacyjnego szlamu. Offline to tama przed tym szlamem, przed zalewem informacji dezaktualizującej się szybciej, niż okres krzepnienia superglue, przed infantylizmem i intelektualną prowincją z trudem wegetującą pod grubą warstwą żelu. Ten limes należy utrzymać, te mury nie runą, nie obawiajmy się, bardowie żenady nie mają charyzmy Jacka Kaczmarskiego.

Wbrew chwilowym napadom czarnowidztwa, kultura nie musi przekształcić się w mitycznego węża Ouroborosa pożerającego swój ogon. Nadal można pisać doskonałe, odkrywcze książki, komponować cudowne dźwięki, oddawać przy pomocy sztuki aspekty człowieczego życia. Wielu ludzi robi to każdego dnia. Łatwo to przegapić w strumieniu kulturowej popeliny. Ale i na to jest sposób - znajdź to, co wartościowe, i nastaw na dostępność w trybie offline. A potem kontempluj do woli. To nic nie kosztuje. Bez abonamentu i bez impulsów.

Nie istnieje granica poznania! Choć raz wydawało mi się, że do niej dotarłem. Tylko się wydawało, ale jeśli was to interesuje, to rzecz miała miejsce w Wielkopolsce. Piłem od paru dni. Atak przyszedł niespodziewanie. Zgięło mnie wpół. Próbowałem jeszcze walczyć. Nadaremnie. Druga fala słabości

Krzysztof Sak

nadeszła jak nieuchronny poranny kac. Kufel z piwem wysunął się z zesztywniałej dłoni i spadł na blat baru. Po gładkiej powierzchni w kolorze ciemnego orzecha popłynęła struga jasnożółtej cieczy. Rozejrzałem się po opustoszałej o tej porze knajpie i podjąłem męską decyzję. Z trudem zsunąłem się ze stołka i wytoczyłem na zewnątrz. Mimo wszystko mroki przedporanka nieco mnie zaskoczyły. Okazało się, że świat nadal jeszcze istniał. W tej chwili mało mnie to jednak obeszło. Wolałem skupić się raczej na pracowitym przebieraniu nogami, by zwalczyć w sobie wszechogarniającą niemoc i senność. A i tak nie udało się nie stracić poczucia czasu...

I wtedy dotarłem do ostatnich domów w mieście. Miejsce wydało mi się znajome. Tak, już nie miałem wątpliwości. Oto zbliżałem się do kresu Poznania...

LESZEK SOKOŁOWSKI

NAWET MYSZ MOŻE DOSTAĆ KOTA

PROWINCJONALIZM - - KOMPLEKS CZY ŚWIADOMY WYBÓR

Pytania takie jak w tytule trzeba zadawać, a nawet mnożyć je, aby można było przynajmniej w zarysie stworzyć nową definicję prowincjonalizmu. Nie zmieni to faktu, że termin ten niezmiennie kojarzył się pejoratywnie z małą miejscowością leżącą na uboczu, nazywaną potocznie zapadłą dziurą, tam gdzie wieje nudą a błotniste drogi prowadzą donikąd.Teraz na pewno nie, już nie. Skojarzenia zmieniły się tak jak zmienia się światopogląd. Teraz chciałoby się mieć na takim odludziu domek z gankiem, ogródkiem i napawać się ciszą, czystym powietrzem. Prowincjonalizm nie kojarzy się już z odległym, zapomnianym miejscem na mapie i nie zależy od położenia względem stolicy. Zależy tylko od ludzi, to oni tworzą klimat, od władz samorządowych, od urzędników, animatorów kultury, czyli od wszystkich tych, którzy ze społecznego nadania tworzą elity. Styl zarządzania gdzie głównym priorytetem jest zasada partnerstwa z mieszkańcami, nadaje rangę miejscu, staje się ono atrakcyjne poprzez „luksus" zwykłych usług na linii urząd - obywatel, bez ingerowania urzędników w samoistnie wytworzone mechanizmy obywatelskiej demokracji. Takie miejsca w naszym kraju już są, o swojskim wyrazie podkreślającym swoją regionalność, bez kosmopolitycznych naleciałości, które są typowe dla prowincjonalizmu tak jak i biurokracja.

Bardzo istotna jest umiejętność pobudzania inicjatyw obywatelskich i wspomaganie ich.

„Obsłużcie mnie w jakimkolwiek wydziale waszego starostwa, gminy, dzielnicy, miasta a powiem wam gdzie żyjecie". Pytanie w tytule sugeruje świadomy wybór pewnych grup społecznych, które poprzez swoją ignorancję i niewiedzę popadają w konformizm. Taka grupa nieuków, chcąc, nie chcąc, stworzy koleżeński, hermetyczny układ pełen ksenofobii i wrogości do wszystkiego co inne, obojętnie czy złe, czy dobre. Tylko przypadkiem mogą przysłużyć się społeczeństwu eliminując zły przepis, tylko przypadkiem, bo wykoszą równo wszystko, czego nie potrafią przyswoić lub się boją, dobre wzorce też. To prowincjonalizm w czystej postaci a źródła jego biją tak samo w metropoliach jak i w gminnych zaściankach. W dobie demokratycznych przeobrażeń, kiedy uczymy się żyć w społeczeństwie obywatelskim, wielu „wizjonerów" z różnych stajni ćwiczy na nas przeprowadzając rozmaite doświadczenia jakby chcąc sprawdzić ile materia wytrzyma. Wprowadzają reformy bez znieczulenia, operują na żywym organizmie, uparcie ingerując w każdą dziedzinę życia w imię nieśmiertelnie wyższych wartości i niezmiennie przyprawiających o drżenie serca i łydek patriotycznych haseł. Wtedy właśnie wtedy prowincjonalizm staje się wszechobecny i można go rozpatrywać również w kategoriach wirusa, czyli choroby i równocześnie złej woli, czyli grzechu.

Pytanie tylko, czy da się to uleczyć?

ANDRZEJ KITLIŃSKI

NAJZWYCZAJNIEJ ZGASŁO ŚWIATŁO

Zgasło światło
zaskoczony bezpiecznik
wyzionął ducha.
Spokój w mgnieniu oka
nakrył płaszczem
wszystko wokół mnie.
A gdyby tak teraz
bezboleśnie umarł wszechświat
historia już by nie zdążyła
napisać słowa koniec.
Wystrzelona kula
zatrzymana w locie,
porcja śmierci
zastygła w strzykawce,
ręka podniesiona do ciosu
rozpłynęła się
nie zadając cierpienia.
Jakże szlachetny
finał niesfornej cywilizacji.
Śmieci wymiecione,
mądrość straciła twarz
nie znając dnia ani godziny,
czas dobiegł wreszcie do celu.
Nie ma nic proszę państwa
Pełnia iluzji w cylindrze
maga.
Ktoś zmienił bezpiecznik,
żarówki błyskawicznie
rzuciły jasność w przestrzeń
rozdzierając kopułę mroku.
Więc musi być jakaś kolejność,
coś zawsze przechodzi w coś.
A czy nicość może być czymś.

fot. Waldemar Wylegalski

ZBIGNIEW DMITROCA

Piosenka prowincjonalna

Na prowincji wszystko jest mniejsze,
Mniejsze domy, mniejsze pieniądze,
Za to życie jest spokojniejsze,
Choć te same rządzą nim żądze...

A w stolicy, a w stolicy
Forsa leży na ulicy,
A w stolicy byle śmieć
Szarogęsi się jak cieć!

Na prowincji wszystko jest prostsze –
Jacy ludzie, takie problemy.
Gdy ktoś skrzydła szerzej rozpostrze, Szczery
donos wnet go uziemi.
A w stolicy, a w stolicy...

Na prowincji smutek i nuda,
Nie ma szans na wielkie afery,
Nawet wiara w UFO i w cuda
Nie pomoże zrobić kariery.
A w stolicy, a w stolicy...

ADAM WIELOMSKI

OKIEM NEOWIEŚNIAKA

HOMO MIASTOVUS

Pismo Święte nie przez przypadek zepsucie utożsamia z pierwszymi miastami. Babilon, Niniwa to synonimy upadku; Kain, ten sam co zabił Abla, miał pobudować pierwsze miasta; miejscy ludzie z Sodomy i Gomory mieli prowadzić się wyjątkowo nieprzyzwoicie, tak bardzo, że od Sodomy stworzono słowo „sodomia". Piszę to, tak jak określił miłościwie nam panujący Redaktor, w kąciku Okiem neowieśniaka. Gwoli tedy wyjaśnienia, chciałbym rozświetlić nieco termin „neowieśniak". Urodziłem się i wychowałem w Warszawie. Myślałem, czułem i oglądałem świat jako warszawiak, czyli jako człowiek „miastowy", wprost „wielkomiastowy", chciałoby się nawet rzec - przypominając slogan z poprzedniej epoki - jako człowiek „wielkoprzemysłowy"... I od pewnego czasu mieszkam pod Warszawą, na wsi, sto metrów od autentycznego lasu, takiego, co nie ma nic wspólnego z „miastowym" parkiem z ławeczkami i skoszoną trawą. Stąd określenie „neowieśniak". Jestem wszak wieśniakiem niejako „wtórnym".

Urodzić się, wychować, przeżyć ponad 30 lat w wielkim mieście, a następnie opuścić je i obserwować. To ciekawa perspektywa. Bliskość wielkiego miasta pozwala zachowywać mi z nim kontakty, zresztą, w dzisiejszym świecie internetu odległość przestaje pełnić tradycyjną rolę. Raz na jakiś czas dojeżdżam do centrum Warszawy. To ciekawe uczucie. Z mojej błogiej wioseczki trafiam w samo centrum miasta z betonu, dookoła wielkie bloki, chodniki. Nie ma drzew, nie ma zieleni, chyba, że w maleńkich rezerwatach czegoś zbliżonego do natury. Zewsząd idą - raczej biegną - ludzie, tłumy ludzi, całe morze ludzi. Wszyscy pędzą i śpieszą się. Zewsząd jadą samochody, słychać silniki, klaksony. Hałas jest ze wszystkich stron. Wystawiam nos i jedyne co czuję to różnego rodzaju smrody i zanieczyszczenia. Ilekroć trafiam do centrum miasta, zadaję sobie pytanie: jak tu w ogóle można żyć? Więcej: jak ja przez tyle lat tu żyłem?

Warszawa to nie tylko beton, hałas i smród. Są to jedynie zewnętrzne wyrazy procesów duchowych. Świat, który stwarza człowiek, jest wszak wyłącznie refleksem tego, co znajduje się w jego duszy. Dziwaczne warunki są tedy świadectwem istnienia dziwnego człowieka: homo miastovus (człowiek miastowy). Marksiści, a w ślad za nimi szkoła behawioralna, zapewne powiedzieliby, że ludzie „miastowi" są produktem warunków materialnych, w których żyją, czyli betonu, huku i smrodu. Ale Karol Marks sam był człowiekiem z miasta i myślał jak „miastowy", dlatego oparł swój system na mieszczańskiej mentalności, gdzie życie ludzkie i świadomość są uwarunkowane przez warunki materialne. Tak w ogóle, to warunki materialne nie determinują koniecznie ludzkich poglądów i mentalności, ale być może determinują myślenie ludzi z miasta. Może jeszcze dokładniej: stworzona przez „miastowych" kultura nakazuje im postrzegać świat w takich właśnie kategoriach. Duch Warszawy - a znajomi mówią mi, że w Krakowie jest podobnie - cechuje się alienacją z kultury tradycyjnej. Większość „miastowych", szczególnie tych, co chełpią się przynależnością do inteligencji, to ludzie całkowicie obcy rzeczywistemu światu. To grupa, która utraciła związek nie tylko z przyrodą, lecz także z rzeczywistością. Żyje we własnym świecie, słusznie wykpionym jako „salon". Nie oznacza to, rzecz jasna, że „salon" ów jest tak wielki i pojemny. Redakcja „Gazety Wyborczej" nie dysponuje aż tak rozległymi pomieszczeniami. Rzeczony „salon" to kilkudziesięciu czy kilkuset intelektualistów, często o esbeckiej lub marksistowskiej przeszłości, którzy nadają ton tzw. warszawce. Warto bowiem zauważyć, że reszta „wykształciuchów" nie myśli samodzielnie, lecz jedynie bezrefleksyjnie powtarza za „salonem". To tenże „salon" nadaje ton i definiuje, co jest dobre, co złe; co piękne, co brzydkie; co europejskie, co ciemnogrodzkie; co postępowe, co nowoczesne; co europejskie, co kołtuńskie.

Adam Michnik powinien zastąpić Syrenkę w roli symbolu Warszawy. To tu od lat jest

największym autorytetem. Jakiego głupstwa by nie napisał, to tu właśnie znajdzie nie tylko czytelników, ale i admiratorów. Dotykamy tu bowiem istoty mentalności wielkomiejskich inteligentów. To ludzie pełni pychy i pogardy względem „wieśniaków" lub „wsiowych". Pycha ta zasadza się na tym, że inteligent ukończył szkoły, posiada wyższą ogładę i kulturę, a przede wszystkim cechuje go „samodzielne myślenie" - to słynne libre examen potępiane przez nieomylne Magisterium Kościoła. Odwrotnością inteligenta z wielkiego miasta miałby być przysłowiowy „moher", który nie dosyć, że nie ma kwitów świadczących o wykształceniu, ale także charakteryzuje się brakiem samodzielnego myślenia, gdyż tylko powtarza naśladowczo - za o. Tadeuszem. Nie będę się spierał, czy „moher" powtarza za Toruniem. Powtarza. Ale inteligencja z wielkiego miasta powtarza dokładnie w taki sam sposób za „salonem". Wszystkie te dyrdymały o „klerykalizmie", „zabobonie", „ciemnocie", „ksenofobii", „nietolerancji". O ile tedy „moher" powtarza za Radiem Maryja i cytuje za „Naszym Dziennikiem", o tyle inteligenciki powtarzają słowo w słowo za TVN i cytują „Gazetę Wyborczą". Przy tym twierdzą, że „samodzielnie myślą". Ale tego też sami nie wymyślili: to wymienione media utwierdzają tych ludzi w przekonaniu, że powtarzanie za Adamem Michnikiem i Tomaszem Lisem świadczy o... samodzielnym myśleniu.

Dobry przegląd opinii salonowych daje program „Szkło kontaktowe" w TVN. To przegląd opinii inteligenckich zirytowanych przez rządy mitycznego „ciemnogrodu". Warto posłuchać. Z nienawiści do jaśnie rządzącego Polską „kołtuństwa" widzowie zdążyli już bronić - zagrożonych deubekizacją - esbeków, a nawet twierdzą, że minister Ziobro jest „niewyżyty seksualnie". Nie ma to jak jaśniejąca samodzielna myśl salonowców z wielkich miast! Zasada libre examen w ostatniej fazie rozwoju...

Nie dziwmy się. Ludzie „miastowi" nie żyją przecież problemami wiary, Kościoła, tradycji, obyczaju i spraw codziennych. Ich życie obraca się wokół kwestii praw człowieka w Tajlandii i w Turcji, praw kobiet i emancypacji w Afganistanie, „aborcyjnego podziemia" i widma „drugiego Iranu" w Polsce. To ich świat, świat, którego nie ma; który istnieje wyłącznie wirtualnie na łamach „Gazety Wyborczej". Jaki świat, takie problemy. To w sumie tylko zlepek rozmaitych ideologii wytworzonych przez nowożytnych filozofów w opozycji do Cywilizacji Zachodu. Alienacja w świecie wielkiej płyty organicznie (w przypadku miasta raczej mechanicznie) łączy się z alienacją kulturową. Nie byłoby w tym może nic dziwnego, gdyby nie fakt, że ci wyobcowani z prawdziwej rzeczywistości ludzie chlubią się „samodzielnym myśleniem" i „refleksją krytyczną". Żadnego myślenia i żadnej refleksji! Wydaje im się, że są klasą średnią, a są tylko sierotkami po socjalizmie.

Już ja znam was, wiem jak myślicie, przez lata wśród was mieszkałem, ludzie z wielkiego miasta! Wy jeździcie w ciepłe miesiące na majówki za miasto zobaczyć wieś i dziwnych ludzi - „chamów", co na tej wsi mieszkają bez windy i zsypu na klatce schodowej. I traktujecie brak bloku z wielkiej płyty jako przejaw cywilizacyjnego zacofania. Co jakiś czas jeżdżę sobie do Warszawy, aby was zobaczyć, w waszych klateczkach z betonu, w pisku silników i smrodziku z rur wydechowych. Uprzedzam, będę obserwował i badał wasz rezerwat nierzeczywistości, która stała się rzeczywistością i opisywał go „okiem neowieśniaka".

Marek Melaniuk